

# ROZMAITOŚCI Warszawskie.

PIĄTEK 6 LUTEGO.

— DODATEK DO KORRESPONDENTA. —

1835.

S Z A L I K.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Ojciec mój już nie żył. Przybyłem nawet zapóźno, aby mu ostatnią oddać posługę. Gorzkie czyniłem sobie wyrzuty, że go odstąpił cierpiącego, zchorzałego. Śmierć ta była nowym dowodem fatalności mego przeznaczenia.

Nie znałem słodkich pieśczot matki: umarła, skrom tylko dzień ujrzała. Byłem jedynym celem miłości ojca, a gdy umierał, byłem zdala od naszej starożytnej i skromnej zagrody; umierał, a ja żyłem swobodny wśród uciech wielkiego świata. Wzrok jego osłabiony nadaremnie szukał syna przy łożu śmiertelnym, aby go raz ostatni pobłogosławić.

Okropna rozpacz mnie ogarnęła. Nietylko straciłem ojca, lecz przyjaciela, przewodnika: wzór, o jaki dzisiaj rzadko. Już kara moja, jako złego syna, iściła się rozmaitemi sposobami. Dostanie Maryi stało się jeszcze trudniejszym; jeden wyraz ojca mógłby być jedynie wrócić mi nadzieję: wyraz ten nie mógł być już wymówionym.

Ojciec mój ożenił się w Filadelfii. Utraciwszy żonę, wrócił ze mną do Europy; lecz nie mieszał się całkiem do interesów publicznych, nie ukazał się na dworze, i żył samotnie w małej wiosce, która mu jedna z licznych jego włości pozostała: nieszczęśliwi tylko wiedzą, czy jego ukrycie było nieczynnym i beużytecznym.

Ojciec mój nigdy nie chciał dawnego przybrać ty-

tułu. Bez tego tytułu jednakże, bez żadnego znaczenia na świecie, który tylko wiedział, że jestem młodym i ubogim prawnikiem, nie mogłem nawet pomyśleć żenić się z Maryją. Jej ojciec był najpóźniejszym ze wszystkich nowo zubożonych we Francji. Wiedziałem, że jego duma pragnęła dla córki świetnego związku, a szczególnie z powinowaciami ze starodawną szlachtą. Chciał prócz tego majątku, chciał wszystkiego, czego pragnąć może człowiek ograniczony, który połowę życia strawił na zbijaniu pieniędzy, a próżnością i dumą pragnie zapełnić nicosć drugiej połowy.

Przepędziłem kilka tygodni w stanie niepodobnym do opisanego. Nie odbierałem żadnego listu od Maryi. Pisałem do niej kilka razy przez umówioną drogę; nie przestawałem jeszcze pisać: żadnej odpowiedzi. Dwa miesiące upłynęły w tem osieroceniu.

Przyniesiono mi nakoniec ogromną paczkę; miała pocztowe znaki miasteczka, pobliskiego zamku B\*. Poznałem pismo Maryi... Był to szalik! Ani jedno słowo mu nie towarzyszyło!

W pierwszym momencie nie wiedziałem co myśleć. Nagle oświecił mnie promień światła, lub raczej płomień piekielny.

Przypomniałem sobie ostatni wieczór; gdyśmy smutnie wracali do zamku, wspierałem chwiejącą się Maryją. — Ach! — rzekła — jeżeli nie będę mogła być twoją, nie znajdę dość siły, aby ci to powiedzieć lub napisać; przysięgam ci nasz szalik: on wszystko wytlómaczy. — Wśród niespokojności, która mnie wówczas dręczyła, mało zważałem na te wyrazy. Przypomniałem je sobie teraz. Oto szalik.... co mi powiada?

Powiada mi, że przysięgi młodej dziewczyny spisane są na piasku, który wiatr unosi; że miłość jej jest snem tylko; że jej przywiązanie tak nietrwale, jak przezroczysta i lekka gaza szalika.

Obudziła się dawna moja gwałtowność. Byłem igraszką słabego dziecięcia i romansowych moich pomysłów. Głowa moja ogniem płonęła. Zapragnąłem zemsty. Przypomniałem sobie, że i ja także mogę jej zaszkodzić. Czyż nie powiedziała: Gdybyś rozdarł ten szalik własną ręką, umrę. — Więc jestem panem jej życia! ja teraz trzymam puginał!... Jaktó, ja miałbym zabić Maryję!... O! nie, nie, ona z tego nie umrze. Były to tylko płonne wyrazy młodej dziewczyny. Zmartwi się jak dziecię, popłacze; potem przyjdą prezenta ślubne, wstążki, kwiaty, zapomni. Zbyt-to mało za cierpienie, które mi sprawiła; nie nie szkodzi, odbierze rozdarty szalik; dowie się przynajmniej to dziecię kapryśne, jak bolesno jest zdradzać.

Ze srogą rozkoszą rozdarłem szalik na dwoje. Trzymając w ręku obie połowy patrzyłem na nie, i oczy moje nie mogły znieść ich widoku. Ileż ten szalik mi przypominał! Lecz wstydiłem się natychmiast takiej słabości; włożyłem obie połowy w zapieczętowaną kopertę, także bez żadnego wyrazu. Na przedce wszystko do wyjazdu przysposobiłem. Zamyślałem opuścić Francją na długo; nie wiedziałem jeszcze gdzie się udam. Byle byż zdala od tego, co mi serce rozdzierało, wszystko mi było jedno: południe, północ; morze, pustynia. Pierwej jednak chciałem się przekonać, czy szalik i zemsta moja dojdą swego przeznaczenia. Zatrzymałem się na poczcie najbliższej zamku B\*. Znając dobrze okolice, łatwo znalazłem drzwi zwierzyńca.

Było-to 10 listopada; wieczór jesienny ponury i milczący; w dali tylko słychać było jednotonne dzwonięcie wracającej z pola trzody; żółkniejące liście zastąpiły zieloność owych drzew, pod cieniem których upłynęło tyle najpiękniejszych dni moich, na zawsze straconych. Jak smutny Rene, szedłem po samotnej alei zwierzyńca, suchemi zasłanej liśćmi. Przybyłem na brzeg jeziora. Wszystko tam było jeszcze jak dawniej, i umiśnione siedzenie, i strumyk, i szmer jego. Liście tylko pożółkły; powietrze było zimniejsze. Czółenko kołysało się u brzegu. Łzy spłynęły po mych licach; niewysłowione rozczulenie mnie ogarnęło. Krzyknąłem z rozpacz, spojrzawszy

na nieruchomą czarną skałę. Wody jeziora stały nieruchome; nie było słońca na niebie; zieloność nabrzeżach; po kłębach, na wpół z liścia odartych, tu i owdzie blade szczątki zeschniętych kwiatów. Wszystko było smutne i żalobne, jak moja dusza.

Ileż to rozdzierających myśli w przeciągu jednej godziny! Trzeba się było wyrwać z tego miejsca, zbyt jeszcze drogiem mi ono było. Zaczynało się zmierzchać; usiadłem na pnium obalonym, przy drodze prowadzącej do wioski; trzymałem szalik w ręku, wahałem się jeszcze. Czulem że jestem okrutny, niesprawiedliwy może! Już chciałem odedrzeć kopertę, abym nie mógł posłać go Maryi. Wtem obok mnie przeszła mała dziewczynka. Poznałem, że to była sierota, którą się Maryja opiekowała. Znała mię, widziawszy nieraz chodzącego po wiosce ze swą dobrodziejką. Przechodząc koło mnie, ukloniła się i wesoło uśmiechnęła. Zawołałem na nią, zbliżyła się, postawiła koszyk na ziemi i spoglądała na niego z miną tajemniczą i znaczącą.

— Dobry wieczór, Małgosiu, gdzie idziesz? — Do pałacu; powiedz mi Pan, czy zastanę Pannę? — spytała śmiało. — Nie wiem tego, moje dziecię. — Ten koszyk, to dla niej... — Od kogo? kto go posyła? — O! to tajemnica. Ale co Panu to mogę wszystko powiedzieć. Patrz Pan, co za piękne kwiaty... — Ato na co kwiaty? — Na jutro; Pan zapewne także na ślub przyjechał...

Pochwyciłem się silnie za gałąź; byłbym upadł.

— Patrz Pan, — mówiła dalej dziewczynka — każda z nas zrobiła własną ręką jakiś małeńki podarek; oto jest mój.

Podniosłem kwiaty, będące w koszyku, i położyłem pod nimi szalik. Zdaję mi się, że powiedziałem dziewczynce przestraszonej moim spojrzeniem:

— Małgosiu, zamieś jeszcze i ten ślubny podarunek; powiedz, że to ode mnie. — I jak najspieszniej wróciłem do pojazdu.

Oszczędzę wam opisu tej okropnej podróży. Zdaję mi się, że przebiegł Włochy, Szwajcaryję, Niemcy. Nie pamiętam zupełnie tej podróży, tej fantastycznej, odurzającej wędrówki, w której nic nie czulem, nic nie znalazłem, nic nie widziałem, prócz mnie i rozdzierających moich myśli. W powrocie moim wpadła mi przypadkiem do ręki gazeta francuzka, a w niej te słowa:

„Hrabia G\* nie znajdował się na sesji w Izbie

„Parów. Wyjechał do południowej Francji, towarzysząc swej młodej żonie, o której zdrowie mocno jest niespokojny. Pani G\* jest córką Barona M\*, dawnego liweranta armii Włoskiej.“

W kilka dni po przeczytaniu tego artykułu przybyłem do domu.

Najpierwszy przedmiot, który mię uderzył, gdy wszedłem do mego pokoju, był list leżący na biurku; oddarłem kopertę... czytacie... oto jest:

„10 listopada.

„Gdzież jesteś, Augustcie? czy odbierzesz to pismo? Co myślisz o mnie? Często słyszałam, jak naokoło mnie mówiono, że umrę; omylili się. Ach! pierwej, pierwej muszę mieć choć słowo od ciebie, musisz mi wybaczyć.

„Odebrałam twoje listy, lecz odpowiedzieć na nie nie mogłam; zlewałam je tylko łzami na łożu boleści. Posłałam ci szalik, nasz drogi, smutny szalik, nie mu więcej nie towarzyszyło; chciałam cię przez to przysposobić do srogiej wiadomości, której ci mam udzielić. Bądź odważnym, ja jedynie dla ciebie chcę być odważną...

„Ach! nieraz ci mówiłam: nie masz przyszłości dla nas! A jednak się łudziłam, chciałam twe życie umilić. Oto cała moja zbrodnia. Niestety! łudziłam się, a tobie serce rozdarłam. O wybacz mi!

„Widziałam cię szczęśliwym, zapominałam o wszystkim, twe szczęście było moją jedyną myślą. Pragnęłam przedłużyć to nowe życie, któreś mówił że mi nadała; na tę myśl zapominałam o wszystkim. Ach! byłam słabą, nierozsądną; wybacz mi!

„Od dawna domyślałam się zamiarów mego ojca. Znałam dobrze jego charakter; jest dobry, zdaje się że mnie kocha, lecz jest nieublagany. Nie wiedziałam z pewnością, czy moją rękę przeznaczono Hrabii G\*, lecz wiedziałem aż nadto, że nigdy ojciec nie dozwoli mi połączyć się z tobą. I to jest właśnie wina moja niewybaczona; powinnam była stronić od ciebie, ukrywać przynajmniej przed tobą moje uczucia: nie mogłam. Oddałam ci serce, sama nie wiedząc co czynię. Tak byłeś łagodny, tak dobry, tak tkliwy! O wybacz mi!

„Od dnia do dnia odkładałam tłumaczenie, którego się domagał. Zdawało mi się, że to obrażałoby ufność, którą pokładałam w Bogu. Tak spokojnie postępowałam obok siebie nad brzegiem przepaści; nie śmiałam spojrzeć na około siebie, ciebie jedynie

widziałam; nie śmiałam opuścić miejsca, któregoś mi dozwolił przy twojem sercu; nie śmiałam odwrócić od ciebie oczu, zobawy, abym nie wpadła w przepaść i nie ujrzała cię więcej: gdyż, pomimo przeczuć, jeszcze chciałam mieć nadzieję, chociaż się niczego już nie spodziewałam.

„Nie, darmo, nie mogę dłużej opierać się ojcowi. Ten opór nie wróciłby mi ciebie. Augustcie, miej litość nade mną; jutro stanę przed ołtarzem; dadzą mi nazwisko, lecz nie twoje; będę żoną innego... Lecz... uspokój się... nie nadługo. Jedyna myśl daje mi nieco odwagi. Ty tak dobrze serce moje rozumieć umiałeś. Wybaczysz mi, wszak prawda? Zachowasz nasz szalik, słodki węzeł tylu szczęśliwych wspomnień. O! powiedz, powiedz, że go zachowasz. Powiedz, że przyjdzie czas, kiedy ci nie będzie tyle złego czynił, że przestanie nakoniec łązy ocierać; iluż-to łzami skropiłam go, które ukrywałam przed tobą! Jutro zbiorę wszystkie moje siły... nie będą wiedzieć co cierpię... matka moja jedynie... z wysokości niebios... widzieć mnie będzie... Jestem posłuszną; cóż więcej uczynić mogę? Ale moje serce na wieki dla ciebie... Żegnaj cię!“

Czy pojmujecie wrażenie, straszliwą boleść, jaką mi list ten uczynił? Datowany był 10 listopada. Pięć miesięcy od tego czasu upłynęło. Wieczorem tego samego dnia, tego samego 10 listopada, odebrała szalik rozdarty; raz ugodzony moją ręką trafił ją w samo serce, a odtąd ani słowa, ani jednego słowa ode mnie! Za całą odpowiedź na te wyrazy czułości, żalu, przebaczenia, okropne milczenie! Odchodziłem od siebie... Konie, które mię przywiozły, stały jeszcze na dziedzińcu. Pojechałem natychmiast. Musiałem przejeżdżać obok zamku B\*\*, aby dowiedzieć się, gdzie jest Maryja. Leśniczy wymienił mi dobra Hrabii G\*\* w Prowancyi... Nakoniec przybyłem.

(Dokończenie nastąpi.)

*Szczególniejsze zwyczaje pasterzy sardyńskich.*

(Z podróży Alberta de la Marmora.)

Pomiędzy dziwnymi zwyczajami pasterzy sardyńskich, tych szczególnie, którzy zamieszkali góry północnej części wyspy, uważałem dwa, z których pierwszy nazywają Kumostwo Śt. Jana, a drugi Poidura.

Dwie osoby płci odmiennej, najczęściej już będące w związkach małżeńskich, obierają się wzajemnie

za kumę i kuma Świętego Jana. Układ ten zwykle czyniony bywa dwa miesiące naprzód. Przy końcu maja bierze się spory kawał kory z drzewakorkowego, związa go w kształcie donicy, napełnia ziemią i zasiewa w niej dużą garść najpiękniejszej pszenicy. Gdy ziemia jest starannie skrapiana, pszenica rośnie nadzwyczaj szybko, tak, iż po dniach blisko dwudziestu, prześliczna tworzy się kępka, którą zowią w ówczas Elma, albo Nerner i. W dzień Świętego Jana, kum i kuma biorą wazon z pszenicznym bukietem i w towarzystwie licznie zgromadzonego tłumu udają się do pobliskiej świątyni. Stanąwszy przed nią, ciskają naczynie, jedzą wszyscy jajecznicę przyprawioną ziołami; potem każdy, kładąc swe ręce w ręce sąsiada lub sąsiadki, powtarza kilkakrotnie, śpiewając głosem donośnym: Ku w i kuma Świętego Jana. Tańczą przez kilka godzin i na tem kończy się uroczystość.

Związki tego kumostwa przez rok jeden tylko trwają; najmniejszego cienia niezgody nie rzucają na rodziny i bardzo są szanowane. Nadaremnie szukałem początku tego szczegółniejszego zwyczaju, który zdaje się być zabytkiem pogaństwa.

Gdy pasterz jaki znaczną poniósł stratę i chce sobie nową trzodę zgromadzić, zwyczaj upoważnia go do czynienia tak nazwanej poniędzy albo panadury. Jest to kwesta na bydło, którą czyni w wioskach okolicznych. Każdy pasterz daje mu przynajmniej jedno bydle młode, i tym sposobem wkrótce dość znaczną zgromadza sobie trzodę, nie zaciągając innego obowiązku, tylko wyświadczenia podobnejże przysługi, gdy jej kto wzywać od niego będzie.

*Taniec styryjskich Słowian.*

Widziałem tańce ludu i uważałem je od Karpatów aż do Pireneów (mówi Wiwdeman w swoim: Opisie Górnego-Styryjska, Wiedeń roku 1834), widziałem mazurka, fantango i tańce między nimi pośrednie, wykonywane na ziemi ojczyściej; lecz żaden z nich nie robił na mnie takiego wrażenia, jak styryjski. Charakter jego składa się z słodkich igraszek miłości, połączonych z najszczerzą prostotą i z wyrazem na wypowiedzianej wesołości i łagodności. Melodyja tańca tego jest tak oryginalną jak on sam, i ma swoich własnych kompozytorów, którzy we wszystkich okolicach Styryjska są bardzo dobrze mający

się; ponieważ cała ludność jest namiętnie do tej rozrywki przywiązana, wreszcie samo przygrywanie do tańca za sztukę uważane, tworzy tam i w tym zakresie własnych wirtuozów. Styryjszczenie improwizują często przy tańcu małe śpiewki basselami zwane, które nie raz bywają trafne, a nawet jennijalne. Słowem, taniec styryjski jest czemś nadzwyczajnym w swoim rodzaju, na który dotąd, jak się zdaje, mniej zwracano uwagi, jak na inne tańce narodowe.

PRZED I POTE M.

Przed ślubem najczęściej się kochają, szanują czasem, a najczęściej się nie znają.

Potem nie kochają się, nie szanują, ale się za to dobrze znają.

Przed zyskaniem oklasków, jest się skromnym.

Potem nie umie się nim być.

Przed uzyskaniem pomyślniej odpowiedzi, skarbi się łaski wszystkich domowych, czasami i pieska.

Potem zapomina się łatwo, nawet o wdzięczności.

Przed, nim się jest bogatym, są piękne zamiary wspierania biednych, potrzebnych.

Potem odwraca się od podobnych przedmiotów.

Przed posiadaniem pożądanej rzeczy, jest się z ognia.

Potem: z lodu.

Przed wstaniem, najpiękniejsze rzeczy układamy.

Potem, cały dzień same dzieciństwa robimy.

(Mag. Mód).

Dó Kr\*

*Dojąc jej polny kwiatek.*

Przyjmij ma luba ten dzwonek niebieski,  
Godło skromności, wieśniaczej prostoty;  
Zajrzyj w sam kielich, tam gdzie słupek złoty,  
Już obok siebie drżą dwie rosy łezki;  
Trąciś kwiatkiem, a perełki obie,  
W jedną się perlę zlały niespodzianie  
Oby tak nasze dusze, me kochanie,  
Bydź zawsze mogły razem i przy sobie.

Znaczenie przeszłej szarady: *Karolina.*